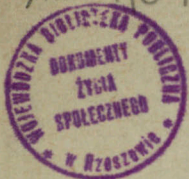
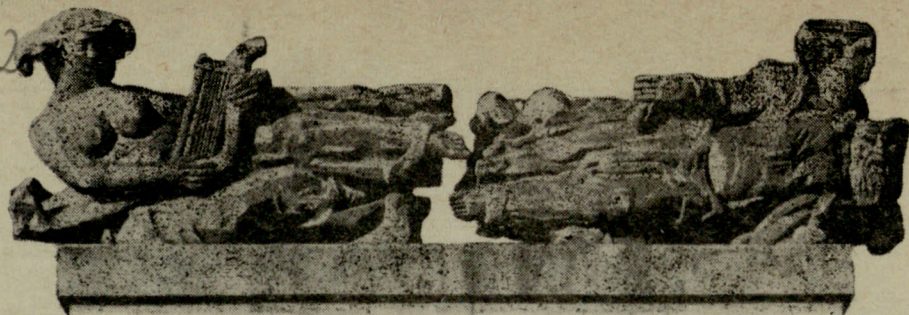


XIX-4/c-1/1972



251



TEATR IM. WANDY SIEMASZKOWEJ W RZESZOWIE

STEFANIA GRODZIŃSKA • JERZY JURANDOT

BALLADA O TAMTYCH DNIACH

STEFANIA GRODZIŃSKA • JERZY JURANDOT

BALLADA O TAMTYCH DNIACH

Muzyka:

JERZY WASOWSKI

Reżyseria:

STANISŁAW BIELIŃSKI

Scenografia:

WOJCIECH SIECIŃSKI

Plastyka ruchu:

ZOFIA WIĘCŁAWÓWNA

Asystent reżysera:

ADAM FORNAL

PREMIERA 17 LIPCA 1971 R.

Dyrektor Teatru:

STANISŁAW BIELIŃSKI

OSOBY

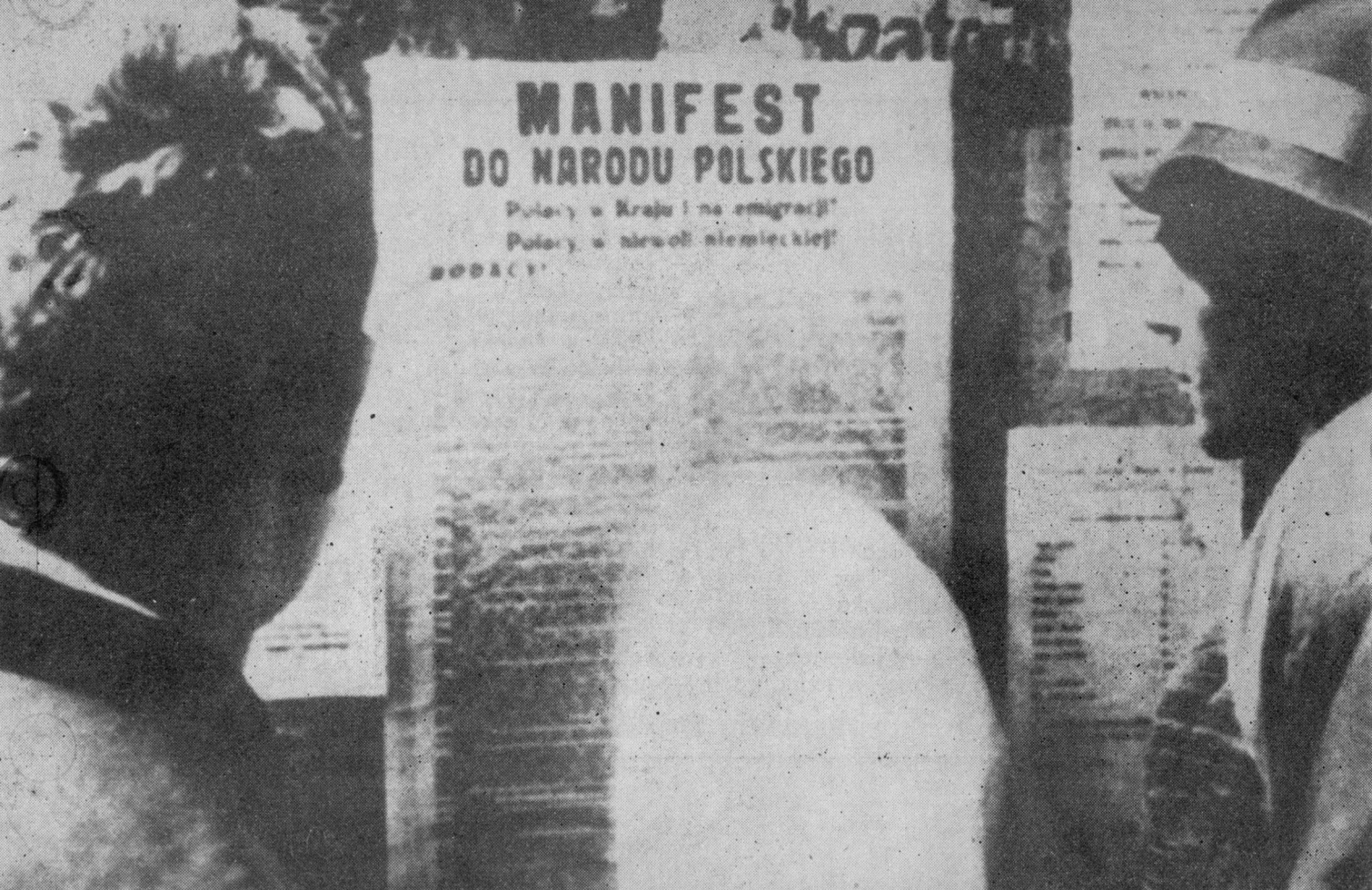
Krystyna	- Anna Kujalowicz
Jacek	- Tadeusz Czarnowski
Kuba	- Jerzy Kulicki
Helenka	- Maria Góral
Zygmunt	- Zdzisław Koziń
Matka Zygmunta	- Jadwiga Wysocka
Podchorąży	- Cezary Sokołowski
Minister	- Klemens Myczkowski
Kurierka	- Danuta Markiewicz
	Urszula Nowacka
Porucznik	- Jan Stawarz
Ksiądz	- Stanisław Bieliński
Kowalska	- Elwira Turska
Starszy Pan	- Antoni Kossowski
Lublinianka	- Zofia Gorczyńska
Młoda Kobieta	- Zofia Grabska
Młody Człowiek	- Feliks Woźnik
Chłopcy w mundurach	- Adam Fornal
	Zenon Stramski

MANIFEST
DO NARODU POLSKIEGO

Polacy w Króju i na emigracji!

Polacy w sirowi niemieckiej!

WODACY!



IDA, LEŚNI

Nie ma nikt na świecie
Domu jak my mamy,
Jest zielony w lecie,
W zimie śnieżnobiały,
Mamy dach z gałęzi,
Z mchu miękkiego łóżko,
Lampą jest nam księżyc
Ponad leśną dróżką.

Idą, idą leśni,
Kompas mają z gwiazd,
Nikt nie słyszy pieśni,
Tylko jeden las.
Idą, idą leśni,
Drogę leśnym daj,
Tam, gdzie my jesteśmy,
Tam jest wolny kraj.

Górą chmurka płynie,
Ptak na niebie tańczy,
Dołem przez gęstwinę
Idą partyzanci,
Drapieżniki leśne,
Wilków złych wataha,
Żandarm wejść tu nie śmie
I SS ma stracha.

Idą, idą leśni... itd.

Nie wiadomo nigdy
Skąd i gdzie spadniemy
Mścić niemieckie krzywdy
Wobec polskiej ziemi.
Hej, niełatwa droga,
Broń ugniata ramię,
Kule są dla wroga,
A ostatnia dla mnie.

Idą, idą leśni... itd.

Nie martw się, dziewczyno,
Trzeba mieć nadzieję,
Wszak nie wszyscy giną,
Może ocaleję.
Jak to będzie ładnie
Wrócić do twojej wioski
Gdy ostatni padnie
Zołdak hitlerowski.

Idą, idą leśni... itd.

STEFANIA GRODZIENSKA – satyryk i aktorka.
Wydane książki: „Rozmówki”, „Plagi i plażki”, „Dzionek satyryka”, „Felietony i humoreski”, „Kieszonkowe tragedie”, „Żabka”, „Wspomnienia chałturzystki”, „Spotkanie ze mną”. Poszczególne opowiadania tłumaczone na 11 języków, a książki wydane w języku rosyjskim (dwie), czeskim (dwie) i niemieckim.

Szereg programów radiowych, telewizyjnych (m. in. cykl pt. „Szkłana niedziela”) i estradowych.



STEFANIA GRODZIĘSKA

PIERWSZY MIKROFON

...na tym kończymy audycję dla ziem okupowanych. Rodacy! Słuchajcie nas jutro o tej samej porze."

A mikrofon słuchał z otwartą gębą.

Ach, jakież walki toczyliśmy między sobą, my, spikerzy lubelskiej rozgłośni, o tę właśnie audycję! Każdy z nas miał najbliższych tam, za Wisłą, „pod Niemcem”. Każdy, czytając tę audycję ludzi się, że może oni tam słyszą, że może poznali po głosie... My byliśmy wolni od niedawna. Jeszcze przed paroma tygodniami słuchaliśmy polskich słów przez radio potajemnie, narażając się na karę śmierci, a teraz to my tu mówimy, my nastawiamy co wieczór płytę z hymnem. Czuliśmy się trochę, jak byśmy chodzili do góry nogami.

Spikerzy, jak zresztą wszyscy pracownicy młodzieżowego radia lubelskiego, stanowili wtedy jedną rodzinę. Było nas wszystkich, w dziale programowym i technicznym razem z dyrektorem o wiele mniej niż sto osób.

Skromna to była instytucja, to „Polskie Radio Lublin na fali 224 metry”. Pierwsze studio przy ulicy Chopina mieściło się w dwóch pokojkach na drugim piętrze i stosunki w nim panowały, można powiedzieć, rodzinne. Dziś, kiedy prelegent zostaje uroczysto wprowadzony do jednego z licznych studiów, kiedy przed rozpoczęciem audycji mrugają na niego przystojne panie z reżyserki na zielono i na czerwono, kiedy po nagraniu pytają grzecznie, czy chciałby przesłuchać, wrócmy na chwilę do tych czasów.

Oto zasiadamy do mikrofonu. W pokojku, z dumą przez nas zwanym studiem, wisí na ścianach kilka

podniszczonych wojskowych kocy dla tłumienia dźwięków. W kącie odrapany fortepian. Na honorowym miejscu pod oknem zwykły, drewniany stolik, przykryty najmniej podartym kocem i na nim prawdziwy mikrofon! Nasz stary, lubelski mikrofon. Mówcie co chcecie, koledzy spikerzy — niektórzy do dziś pracują w tym zawodzie — ale do żadnego mikrofonu na świecie nikt z nas nie będzie miał tak ludzkich, tak osobistych uczuć, jak do tego przewiązanego sznurkiem biedaka, po którym nigdy nie wiadomo było, czego się spodziewać. Potrafił zamilknąć w kulminacyjnym punkcie płomiennego przemówienia prawdziwego ministra albo kogoś jeszcze lepszego, zdarzało mu się również, że zaczynał funkcjonować o kilka sekund za wcześnie, wysyłając na eter najpełniej prywatne sprawy spikerów.

Wtedy nikt nie mrugał zielono ani czerwono. Wtedy odbywało się wszystko zupełnie inaczej. Drzwi od amplifikatorni otwierały się i dyżurny technik wsadzał głowę do studia.

— No, zaczynamy, czy jak tam?

— Czemu nie, panie Zychowicz, można zaczynać.

— No to jadziem!

I jechało się. „Bzzzz” — warczał nad głową niemiecki samolot. — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ustanowił..

Fiuuu... bum. Niedaleko spadła bomba.

— ...dekret o reformie rolnej.

Dostawaliśmy pomazane karteluski, pisane odręcznie, pokleksane, pokreślone, czytaliśmy je bez uprzedniego przejrzenia, oczywiście „prosto na eter”, bo przecież o żadnym nagrywaniu nawet się nie slyszało. Każdy z nas miał sporo gaff spikerskich na sumieniu. Z moich najefektowniejsza była „W związku z ustawą o reformie rolnej chłopci uchwalili rewolucję” (zamiast „rezolucję”).

A potem przyszła zima. Przynosiliśmy własnoręcznie do studia po koszyku węgla zdobytego to tu, to tam i paliliśmy w piecu. Mimo to marzło się, a najgorzej było w nocy. W ciągu długich tygodni nadawałam co noc dyktando Polpressu. Technik owijał mnie w koce, zdjęte w tym celu ze ściany i gotował mi grzałką herbatę. Dyktowałam, popijając ukrop między jednym a drugim — najczęściej dość patetycznym słowem.

— Niech pani ciszej lyka — upominał mnie zacny technik — ...mikrofon! I zębami o szklanę dzwonić nie trzeba „faszystowskich najeźdźców całkiem pani zagłuszyła.

Nasz mikrofon. Stał na trójnogu, składającym się z dwóch nóg dłuższych i jednej krótszej przewracał się, kiedy chciał, ściągając na nas podejrzenie o sabotaż.

Nasz mikrofon, centralny punkt życia grupki młodych, bezdomnych wygnańców. Stał spokojnie i pewnie na swoich nierównych nogach, czujny i napięty — nigdy nie nawalił o przedwieczornej godzinie, kiedy między innymi nazwiskami podawałam co dzień: „Stefania Grodzieńska poszukuje Jerzego Jurandota, wiadomości do Polskiego Radia”.



JERZY JURANDOT – satyryk i komediopisarz.

Przed wojną współpracownik teatrzyków literackich „Banda”, Małe „Qui-pro-quo”, „Cyrulik Warszawski”. Po wojnie (1945) założyciel Teatru „Syrena”, którego był długoletnim dyrektorem i kierownikiem artystycznym. Od 1956 r. poświęca się wyłącznie komediopisarstwu.

Wydane książki: „Niedobrze p. Bobrze” (1937), „Frontem i afromtem”, „Wybór satyr”, „Dzieje śmiechu”, „Moja tfurczość”, „Operacja Sodoma”.

Komedie – „Plecy” (1946 r.), potem „Takie czasy”, „Trzeci dzwonek”, „Mąż Foltasiówny”, „Dziewiąty sprawiedliwy”, „Pamiątkowa fotografia”, „Rachunek nieprawdopodobieństwa”. Grane w kraju i za granicą, tłumaczone na rosyjski, niemiecki, czeski, słowacki, węgierski, rumuński, bułgarski, serbski, ukraiński, litewski, łotewski i chiński. Według kilku sztuk nakręcono filmy.



Dzielenie ziemi obszarniczej

LUBLIN

JERZY JURANDOT

w „tamtych dniach”

„Wydział Estrady Ministerstwa Kultury i Sztuki ogłasza konkurs otwarty na utwór małych form: skecz, monolog, piosenkę. Termin nadsyłania... nagrody w wysokości...”

Stałem przed naklejoną na ścianie domu lubelską gazetą, urzeczony słowami powracającymi z innego wymiaru, niemal nieprawdopodobnymi w tym otoczeniu. Mur dokoła upstrzony był krwisto-ceglastymi, jeszcze zupełnie świeżymi wyrwami po kulach, po styczniowym niebie co chwila przewalały się ze wschodu na zachód eskadry warczących samolotów. Grupki nędźnie odzianych i wymizerowanych ludzi przystawały na ulicy Pruszkowa, przypatrując się z mieszaniną zaciekawienia i nieufności mizernym facetom z czerwoną opaską na ramieniu i z karabinem w garści. A tu nagle: sztuka, kultura, piosenka...

Do Lublina i tak miałem wyruszyć nazajutrz. Szczęśliwym trafem dowiedziałem się, że jest tam moja żona, z którą w lipcu rozdzielił mnie front. Nie była to droga najprostsza, całe bowiem zaplecze frontu, nieprzerwane szeregi wszelkiego kalibru maści i zastosowania ciężarówek, ciągników i samochodów oso-

bowych grzmiały lubelską szosą w kierunku przeciwnym. Kuląc się z zimna na odkrytych platformach od przypadku do przypadku chwytanym ciężarówką, przedzierających się z wysiłkiem pod prąd, ciągle przeżywałem na nowo szokujące zestawienie wielkich i groźnych form, otaczających mnie dokoła, z „małymi formami estradowymi” w tym jakimś niezwykłym Lublinie.

Za to po przybyciu na miejsce dane mi było dokonać skoku w karierze, jaki jest możliwy tylko w tak historycznych okolicznościach. Jeszcze w poniedziałek byłem stróżem w pewnym nafaszerowanym nielegalnością przez wszystkie lata wojny mająteczku pod Warszawą, a już w środę zostałem przedstawiony w Lublinie ministrowi Wincentemu Rzymowskiemu i mianowany naczelnikiem Wydziału Estrady. Jako najbliższe zadanie poruczono mi rozstrzygnięcie ogłoszonego przez Ministerstwo konkursu na utwór sceniczny małych form. Tak, szło o ten sam konkurs... Równocześnie miałem przystąpić do organizowania pierwszego po wojnie teatru satyrycznego. Po latach wykreślonych i znacznie bliższych śmierci, niż życiu, zaczynało się mniej więcej normalne istnienie. Czy mniej, czy więcej? Nie potrafię powiedzieć. W każdym razie był to okres jedyny i — przepaszam za górny lot — niezapomniany. Każdą rzecz zwykłą i codzienną przeżywało się intensywnie, zdumiewając się jej zwykłością i codziennością. A ileż do tego działa się rzeczy niezwykłych i niecodziennych!

Nie mogę zrozumieć, dlaczego o Lublinie z tamtych dni nie napisano mnóstwa książek, sztuk i scenariuszy

filmowych. Przecież w tym niezbyt podłym, ale i niezbyt efektownym mieście działo się wtedy coś bez precedensu, coś jednorazowego i niepowtarzalnego: tworzyło się nowoczesne państwo, ale na razie w pigułce, wykluwały się władze i instytucje, ale na razie na wyrost, formował się nowy model społeczny — ale na razie w miniaturze, na skalę laboratoryjną. Stąd też jak nigdy nigdzie sąsiadowały tu z sobą patos i powszedniość, wielkość ocierała się o śmieszność.

Patos i wielkość powinny były znaleźć sobie miejsce w tych właśnie dotychczas nie napisanych książkach, sztukach i scenariuszach; mnie proszę pozwolić popatrzeć na tamte dni pod kątem anegdoty, która przecież często lepiej oddaje klimat chwili niż najbardziej źródłowe dzieło. Tak jak ta na przykład anegdotka, kursująca w owym czasie po Lublinie: oto przewodniczący KRN Bierut i premier Osóbka -Morawski, po zagrożeniu w rozpaczliwej walce z trudnościami obsadzenia niezliczonych stanowisk na wyzwolonym terenie przez garstkę będących w dyspozycji ludzi, słyszą przez radio ostatni komunikat: „Armia Czerwona w zwycięskich bojach uwolniła dziś od hitlerowskiego okupanta tyle to a tyle kolejnych miast i tyle to a tyle osiedli”... „Psiakrew, jeszcze tego nam brakowało!” — mówi zgnębiony Bierut do Osóbki.

Za moją połową biurka w Ministerstwie Kultury i Sztuki zasiadałem z poczuciem własnej ważności: podlega mi już jeden zaimprovizowany teatr estradowy o nie określonej nazwie i przypadkowym zespole, tudzież miałem pod sobą jeden prawdziwy cyrk. Druga, a właściwie zgodnie z hierarchią pierwszą po-

łową biurka zajmował dyrektor Karol Borowski, jako kierownik Departamentu Teatru. W sąsiednim pokoju urzędowali dyrektorzy Aleksander Barchacz i Mieczysław Drobner. Jeżeli doliczymy niewielki gabinet ministra Rzymowskiego z oddzielnym, a więc reprezentacyjnym wejściem z korytarza — otrzymamy pełny obraz przestrzeni życiowej Ministerstwa Kultury i Sztuki w pierwszym okresie jego funkcjonowania. Przestrzeń była, jak widać, niewielka, ale za to życie jakie bujne!

Do mojego pokoju przychodzili „interesanci”. Takich interesantów nie miał nigdy żaden urzędnik żadnego ministerstwa. Obcych nie było — samą starzy koledzy i przyjaciele. O niektórych nie słyszało się nic od wybuchu wojny, o innych nie wiadomo było, czy przeżyli powstanie i ofensywę. Teraz, po przewaleniu się frontu, z różnych mniej lub bardziej zakazanych Garwolinów, Końskich czy Milanówków, gdzie ich wyrzuciło i gdzie przycupnęli w oczekiwaniu, ściągali do Lublina: do swojego Ministerstwa, do swojego prawdziwego życia, do swojej przyszłości. Co dzień nowi: Mieczysław Fogg, Mira Zimińska z Tadeuszem Sygietyńskim, Jan Brzechwa, Andrzej Bogucki z żoną, Zdzisław Górczyński — tyle wzruszających powitań, tylu nowych „petentów”. Zaopatrywało się ich w pieniądze, rozpytywało o plany i prowadziło do Ministra Rzymowskiego, który od ręki przydzielał godności i stanowiska, nierzadko na terenach jeszcze objętych działaniami wojennymi.

(fragmenty z książki „Dzieje śmiechu”, Państwowe Wydawnictwo „Iskry” 1959 r.

NASZA MIŁOŚĆ WOJENNA

*Nasza miłość wojenna
Do innych jest niepodobna,
Naszą miłość wojenną
Trzeba szybko wykochać do dna,
Nasza miłość wojenna
Jest pospieszna i smutna,
Dano ten jeden dzień nam,
Nie przyrzeczono jutra.*

*Może jeszcze tej nocy,
Czujnej, broniącej się snom,
Wzgardliwi i zimnoocy
Zajadą pod nasz dom.
Wezmą ze sobą stróża,
Bładego, bez kropli krwi,
Tupiąc iść będą schodami
I podkutymi butami
W drzwi.*

*Nasza miłość wojenna
Do innych jest niepodobna... itd.*

*Może jakoś się uda,
Może i ciebie, i mnie
Ominie żandarmaska buda,
Oszczędzi wszystko złe.
Ale i tak, dziewczyno,
Gdy kiedyś przyniosą wieść,
Wyjmę tę broń, com ją schował,
Powiem ci: „No to bądź zdrowa,
Cześć”.*

*Nasza miłość wojenna
Do innych jest niepodobna,
Naszą miłość wojenną
Trzeba szybko wykochać do dna,
Nasza miłość wojenna
Jest pospieszna i smutna,
Dano ten jeden dzień nam,
Nie przyrzeczono jutra.*

MOJE REFLEKSJE

W związku z dwudziestopięciolecie Polski Ludowej pragnęliśmy opublikować refleksje pisarzy na temat osobistych doświadczeń artystycznych i intelektualnych, związanych z tym okresem..." Czyta się taki list i człowiek myśli sobie: bagatela! Dla pisarzy średniego pokolenia dwadzieścia pięć lat to ich całe — jeśli się tak można wyrazić — życie świadome, a dla mojego, starszośredniego, co najmniej dwie trzecie tego życia. Jak zamknąć doświadczenia dwóch trzecich życia w jednej syntetycznej wypowiedzi, nawet „dowolnej objętości” jak to uprzejmie proponuje redakcja? A jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę, jakie to były lata... Ech!

Jednak kiedy redakcja tak szacownego miesięcznika zwraca się z prośbą, odmówić niezręcznie i nawet nie wypada. Po namyśle postanowiłem więc, że spróbuję o poważnych sprawach twórczości — a przynajmniej o niektórych z nich — napisać w sposób lekki, felietonowy. Może w drodze rewanżu ktoś kiedyś o sprawach lekkiej twórczości zechce nareszcie napisać w sposób poważny. Jako osobiście zainteresowany ucieszyłbym się ogromnie.

A w ogóle muszę się przyznać, że zawsze mi sprawia trudność pisanie do druku, a nie na scenę. Przemawianie do czytelnika, który moją wypowiedź będzie czytał może w Klubie Książki i Prasy, może w poczekalni u dentysty, może wreszcie po prostu w swoim mieszkaniu przy biurku, w łóżku lub w wannie — w każdym razie w sytuacji, w jakiej nie będę z nim miał żadnego kontaktu i nie będę mógł obserwować jego reakcji na moje słowa. Gdy tymczasem mego widza w teatrze mogę sobie zawsze podglądać z ukrycia, stwierdzić, że się uśmiechnął tam, gdzie chciałem, żeby się uśmiechnął, albo że się skrzywił w tym miejscu, w którym przewidywałem pojawienie się wyrazu błogości na jego obliczu. Ta potrzeba bezpośredniej konfrontacji z odbiorcą, natychmiastowej weryfikacji każdego napisanego słowa — to deformacja zawodowa tych, którzy tak jak ja od najwcześniejszych swoich lat związali się z teatrem. Jako młody autor przesiadywałem tygodniami i miesiącami na widowni, słuchając czy i jak publiczność reaguje na to wszystko, co sobie wykoncypowałem przy biurku. Po pewnym czasie, proszę mi wierzyć, wyrabia się w człowieku dodatkowy zmysł który sprawia, że bezbłędnie odczytuje się nawet ciszę: to jest cisza aprobująca, to cisza sprzeciwu, a ta — ta jest najgorsza, to cisza braku zainteresowania. Takie rozeznanie pozwala wyłapywać swoje błędy i korygować warsztat, bez czego — biada autorowi.

A potem to już pozostaje na całe życie — to nacelowanie każdego słowa na odbiorcę. I poszukiwanie tego samego u innych — w powieści, w poezji, w dra-

macie. Niestety, poszukiwanie nie zawsze uwieńczone sukcesem.

Zdaję sobie sprawę, że lekkomyślnie wkraczam na teren śliski i niebezpieczny. W tasiecowych dyskusjach uzgodniono już przecież po wielokroć, czym powinna być sztuka w takim społeczeństwie jak nasze, słowa „kultura masowa” po prostu nie schodziły z warg (czasem, co prawda, wykrzywionych lekko wzgardliwym grymasem). Nie śmiałbym zatem wtrącać swoich trzech groszy do rozmów mężów uczonych i w bojach krytycznych wiele wprawnych, gdyby nie pewna wątpliwość, która dokucza jak ćmienię zęba. Czy aby na pewno już każdy nasz twórca w tańmniczym momencie tworzenia widzi przed sobą nie kogo innego, ale przyszłego swego odbiorcę? Czy co poniektórym ciągle jeszcze nie przesłaniają go wyolbrzymione postacie kolegów i krytyków?

Chwileczkę, spokojnie, proszę mi dać dojść do słowa! Przede wszystkim proszę zauważyć, że wyraziłem się „co poniektórym twórcom”, a więc na pewno nie miałem na myśli wszystkich i niniejszym proszę zainteresowanych, aby każdy z nich to, co napisałem, odniósł do swych kolegów, a nie do siebie. Po wtóre zapewniam, że w pełni doceniam wiele pięknych osiągnięć naszej prozy, poezji czy dramatu i że bynajmniej nie mam zamiaru generalizować. Zaasekrowawwszy się w ten sposób, pozwolę sobie jednak zauważyć: nie jest dla nikogo tajemnicą, że po tomiki wierszy nawet renomowanych poetów rzadko ustawiają się kolejki jak po pomarańcze. A utwory niektórych naszych wysoko notowanych dramaturgów mają

wprawdzie świetną prasę, ale za to „frekwencja nie przychodzi”, jak się mówi za kulisami.

Znów się wpakowałem na niebezpieczny teren. Wiem, wiem: jeżeli sztuka, która zyskała placet krytyki, nie trafia do publiczności, tym gorzej dla niej (oczywiście dla publiczności, nie dla sztuki), nie można wymagać od autora, aby schlebiał niskim gustom itd. itp. No cóż, pewnie, jest jeszcze sporo takich, którym na scenie odpowiada najbardziej „Hrabina Marica”, w kinie western, czytują zaś najchętniej, jeśli niewyłącznie, kryminały. Ale czy rzeczywiście taki jest po tych dwudziestu pięciu latach średni poziom naszych czytelników, widzów i słuchaczy? Gdyby tak było, to wszyscy razem — twórcy, krytycy i działacze — wystawilibyśmy sobie bardzo smutne świadectwo. Pozostawałoby tylko stwierdzić, że w karygodny sposób zmarnowaliśmy to ćwierćwiecze i jego nieskończone możliwości. Na szczęście jest zupełnie inaczej, czego już dziś chyba udowodniać nie trzeba. Wystarczająco świadczy o tym sprzedaż spod lady najwartościowszych książek, świadczą koniki przed kasami teatrów i kin, kiedy grana jest nawet trudna, ale interesująca sztuka lub film. Więc co, jaki wniosek? Może raczej nieśmiała propozycja. Doszliśmy już — nie bez trudności — do ustalenia, że nie wszystko, co trafia w gust szerokiego odbiorcy, godne jest potępienia i dyskwalifikacji. Spróbujmy jeszcze ustalić, że nie wszystko, co się z tym gustem rozmija, urasta automatycznie do rangi arcydzieła.

Otóż za jedną z najpiękniejszych spraw naszego ustroju uważam zasadę równego startu dla wszystkich, w kulturze tak samo jak i w innych dziedzinach życia. Nawet wyobrażam to sobie plastycznie: młodzi zawodnicy kucają jeden obok drugiego w dołkach startowych, z góry wykopanych pod nimi przez życzliwych kolegów, i na strzał ministra kultury rozpoczynają bieg po laury, stypendia i nagrody państwowe, dopingowani rykiem kibiców z kawiarni literackiej. Na kolejnych okrążeniach mniej zdolni pozostają w tyle, niektórzy nawet odpadają, zaś najbardziej utalentowani... Stop, nieprawda! Nikt nie odpada. Włoką się bez nadziei szans ale nie dają się spędzić z bieżni. Ambicja sportowa? A jakże!

Mówiąc poważnie: o ile trudno sobie wyobrazić coś słusznieszego niż zasada równego startu, o tyle nic bardziej niesłusznego niż start ułatwiony. Jest czymś naprawdę ogromnie krępującym występowanie przeciw ułatwianiu początków młodym, ale jakże nie zwrócić uwagi kochającemu ojcu, kiedy powodowany rodzicielską miłością usuwa wszelkie przeszkody z drogi synusia, w gruncie rzeczy pacząc mu charakter i zabijając w nim zdolność do samodzielnego życia. A nasz kochający tatuś — socjalizm tak właśnie postępuje ze swoimi pupilami. Początkujący poeta wydaje swój pierwszy tomik — i już pchają się wszyscy z pomocą, ułatwiają co tylko można ułatwić, organizują mu spotkania autorskie, przyznają stypendia twórcze. Początkujący poeta (prozaik, dramaturg) musiałby być zaiste z żelaza, żeby mu to wszystko nie przewróciło w głowie. Gdyby przynajmniej zechciał oddawać się

literaturze w chwilach wolnych od zajęć zawodowych — niestety, w większości wypadków rzuca natychmiast swoje dotychczasowe zajęcie i postanawia całkowicie „poświęcić się pisaniu”. Poświęcić się względnie łatwo, ale utrzymać się z tego pisania znacznie trudniej. Niektórym, tym naprawdę utalentowanym, udaje się: po pierwszym tomiku wydają drugi, po pierwszej sztuce wystawiają następną — i powoli wchodzą w krąg zawodowców. Ale inni? Ci, którym po mniej lub więcej udanym debiucie dalej powodzi się już gorzej, którym nie chcą wydać drugiego tomiku lub wystawić drugiej sztuki? Chwilowe sukcesy ukazały im tak oszałamiające perspektywy, że do porzuconego lekkomyślnie zajęcia już nie powrócą za żadne skarby. Będą brali z Ministerstwa Kultury i ze Związku Literatów początkowo stypendia twórcze, potem zasiłki lub wręcz zapomogi, będą bezskutecznie nachodzili wydawnictwa czy teatry z coraz to nowymi propozycjami, będą gorzknieli i szybko powiększali grono literackich wykołajeńców. Gdyby zaś — wracając do sportowej metafory — gdyby ci o najlepszej kondycji zdecydowanie odpadali w przedbiegach, gdyby eliminacje były nieco surowsze i kandydat musiał choć parę okrążeń przebiec o własnych siłach, nie podpierany ze wszystkich stron... Ostatecznie to tak właśnie wchodziło do kadry ci wszyscy, którzy nie mieli szczęścia debiutować po drugiej wojnie światowej. Od Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja z Nagłowic poczynając.

A co z tymi naprawdę utalentowanymi, którzy w końcu dobili się pozycji w literaturze? Czy los ich jest godny pozazdrosczenia? O, nie zawsze, nie zawsze.

Często bywa tak, że ten lub ów zostaje z niezwykłą szybkością wywindowany na cokół i z miejsca otrzymuje patent geniusza. W społeczeństwie istnieje bez wątpienia zamówienie na geniuszów i intencje windujących są jak najlepsze, powoduje nimi jedynie szlachetna niecierpliwość — tym niemniej nieszczęsnego windowanego nie gorszego nie mogło spotkać. Teraz bowiem wystarczy, jedno potknięcie, jeden fałszywy ruch — aby spadł? Nie, aby go strącono w przepaść z pośpiechem równym temu, z jakim niedawno windowano go w górę. Cóż, zawiódł, rozczarował, nie dotrzymał obietnic. To nieważne, że sam nic nie obiecywał — za to windujący obiecywali sobie po nim tak wiele, tak głośno i z taką pewnością o tym trąbili, że teraz dla ratowania twarzy muszą go prędko obciążyć winą za własną pomyłkę. Nie kładźcie go — to pałka, pośrednich sytuacji nie lubimy.

Czy się z tego upadku jeszcze podniesie? Pewnie tak, ale o ileż by mu było łatwiej, gdyby nie miał w kościach tej diabelskiej huśtawki. Szlachetna niecierpliwość krytyki jest rzeczą piękną, ale rozważna i mało efektowna cierpliwość chyba jeszcze piękniejszą. Nie wolno przy tym zapominać, że wszelki sąd literacki (i w ogóle artystyczny) jest tym bardziej niebezpieczny, iż wyrok uprawomocnia się już w pierwszej instancji. Do kogo bowiem apelować? Do potomości? Jak na współczesne umiłowanie tempa stanowczo zbyt powolna procedura.

Pośrednich sytuacji nie lubimy... Zastanawiam się, czy aby słusznie wetknąłem tę szpilę akurat krytyce? Czy nie jest to przypadkiem pochodna zjawiska szer-

szego, znanego nam z licznych dziedzin życia — naszej skłonności do ekstremów, do kolejnego przerzucania się z krańcowości w krańcowość, naszego — jeśli tak można powiedzieć — aut-autyzmu? Temat skądinąd pasjonujący, wypisz — wymaluj dla satyryka, ale obawiam się, że daleko wykracza poza ramy niniejszej wypowiedzi.

A w ogóle wspomniałem o satyrze i zaraz zrobiło mi się smutno. Pomimo wszystko co roku przybywa nam młodych, utalentowanych prozaików, poetów i dramaturgów — a gdzież są u diabła młodzi satyrycy? Starsi zużyli się w bojach, ociężałość wstąpiła w ich członki, wykruszyły się im zęby i stępiały pazury — w porządku, taka jest normalna kolej rzeczy. Ale gdzie młodzi, czemu się nie ujawniają? Czyżby odstręczyły ich tzw. trudności obiektywne? Nie będę twierdził, że ich nie ma, ale ostatecznie każde pokolenie satyryków hartowało się głównie w walce z właściwymi dla swego czasu trudnościami obiektywnymi, tego towaru nigdy nie brak. Natomiast, jak wykazują doświadczenia wieków, literatura bez szczypty satyry zapada z wolna na przykrą dolegliwość, polegającą na przeroście powagi i celebry. Kto wie nawet, czy ta dolegliwość w jakimś stopniu nie dotknęła już i naszej literatury? Jej pierwsze symptomy widoczne są gołym okiem: jeżeli popełniamy głupstwa, to zawsze z ogromną powagą.

To by chyba z grubsza było wszystko. (...)

JERZY JURANDOT

„Miesięcznik Literacki” Nr 3 1969 r.



Inspicjent: Jerzy Dobrzyniecki. Sufler: Kazimierz Jachowicz.
Kierownicy pracowni: krawieckiej — Irena Szenborn i Tomasz Szczurek, perukarskiej — Edward Terlecki, stolarskiej — Józef Noworól. Prace malarskie — Krystyna Niebudek, główny rekwizytor — Maria Jarka, prace modelarskie — Franciszek Danek. Oświetlenie — Tadeusz Majchrowski. Brygadier sceny — Mieczysław Bułaś. Kierownik techniczny — Henryk Kopyciński.

Redakcja programu: Jerzy Pleśniarowicz

Opracowanie graficzne i techniczne: Jerzy Biernat

Cena 3 zł

SEZON
TEATRALNY
1970/71